

Precz z „populizmem”

13 maja 2017

Każdy polityczny okres tworzy modę na określone słowa, za pomocą których ludzie próbują uchwycić jego cechy charakterystyczne. Gdy w Polsce główna oś sporu przebiegała między rządzącą PO a opozycyjnym PiS-em, w mediach karierę robiły określenia takie jak „moher” i „leming”. Przez jednych były używane poważnie, jak gdyby rzeczywiście uchwyciły ważne cechy naszego społeczeństwa, przez innych z ironią. Obecnie, gdy zarówno w naszym kraju, jak i w wielu częściach świata sukcesy odnosi prawica, modne stało się słowo „populizm”. Wprawdzie jest ono stałym elementem słownika politycznego już od wielu lat, ale ostatnimi czasy jego popularność jeszcze wzrosła. Nie ma dnia, aby jakiś polityk czy publicysta nie posłużyli się nim do opisania najnowszych wydarzeń. Populiści doprowadzili do Brexitu, populiści rządzą Polską, populistą Trump wygrał z Clinton, populistyczna Le Pen grozi rozpadem Unii Europejskiej, Holendrzy dali odpór populistom, nie głosując na Wildersa.

Jednak popularność tego słowa sięga dalej. Komentatorzy jako populistyczne często określają także partie sytuujące się po lewej stronie sceny politycznej, np. grecką Syrizę czy hiszpański Podemos. Również lewicowe recepty polityczne – wysokie podatki, duże transfery socjalne czy próba ograniczenia władzy międzynarodowych korporacji – często bywają etykietowane w mediach jako populistyczne. Kto nie wierzy, niech wpisze odpowiednią sekwencję słów w internetową wyszukiwarkę. W tę pułapkę wpadają nawet ludzie uważający się za przedstawicieli lewicy, jak Grzegorz Kołodko, który swego czasu na antenie TVN-u przestrzegał polskie społeczeństwo przed lewicowym populizmem czy nawet „lewactwem”. Zresztą wystarczy przypomnieć dyskusję wokół 500 plus. Część osób była przerażona tym programem równie mocno, jak majstrowaniem przy Trybunale Konstytucyjnym lub językiem antyimigracyjnym. Z ich

perspektywy był to przejaw tego samego problemu: populizmu. Dlatego nie wahały się wytaczać przeciwko programowi najcięższych działań, w tym wszystkich możliwych stereotypów na temat ludzi ubogich.

Skoro przejawem populizmu ma być zarówno wrogość wobec obcych, jak i pomoc najuboższym, zarówno program Trumpa, jak i program Podemos – by sięgnąć po najsłynniejsze zagraniczne przykłady polityki prawicowej i lewicowej – powstaje proste pytanie: co to słowo właściwie znaczy? Na ile pomaga wyjaśnić współczesny świat, a na ile zaciemnia sytuację? Przecież wystarczy tylko zerknąć na propozycje Trumpa i Podemos, aby dojrzeć poważne różnice. Trump chce obniżać podatki dla bogaczy, Podemos podwyższać. Trump na każdym kroku pokazuje, że nie obchodzą go prawa kobiet, Podemos jest w tej sprawie bezkompromisowe i żąda pełnego równouprawnienia. Trump idzie na otwartą wojnę z imigrantami, a Podemos swego czasu proponowało, by zlikwidować wszelkie bariery związane z migracją i nadać w Hiszpanii prawa wyborcze każdemu przybyszowi z innego kraju. A jednak dla dużej części mediów i polityków zarówno amerykański prezydent, jak i młoda lewicowa partia są populistami. O co chodzi?

Umberto Eco, autor „Imienia róży”, stwierdził kiedyś, że gdy mamy problem z jakimś słowem, dobrze jest odwołać się do rozsądku słowników. Niestety, „Słownik języka polskiego” tylko pogłębia zakłopotanie. Wedle niego populizm to tyle, co lansowanie idei „zgodnych z oczekiwaniami większości społeczeństwa w celu uzyskania jego poparcia i zdobycia wpływów lub władzy”. Ta definicja nie oddaje grozy, z jaką o populizmie mówi duża część medialnych komentatorów i klasy politycznej. Cóż jest bowiem takiego strasznego w odpowiadaniu na zapotrzebowania większości społeczeństwa? Czy nie na tym w dużej mierze powinna polegać demokracja? Głoszenie określonych idei w celu zdobycia poparcia także nie wydaje się niczym szczególnie zdrożnym. Czy jest jakaś partia w Polsce, która nie stara się, aby to, co głosi, przełożyło się na jej sukces wyborczy?

Choć więc z formalnego punktu widzenia przytoczona definicja może być dobra, to nie oddaje jednej ważnej sprawy. Gdy nazywamy jakieś partie populistycznymi, to zazwyczaj chcemy podkreślić, że są one nieodpowiedzialne, ponieważ obiecują rzeczy niemożliwe do spełnienia lub odwołują się do najniższych instynktów części wyborców. Dlatego populistami są zarówno ci, którzy wmawiają ludziom, że potrafią szybko i łatwo rozwiązać większość ich bolączek, jak i ci, którzy szukają kozłów ofiarnych, np. imigrantów, jako wytłumaczenia lub przykrywkę dla ważnych problemów społecznych.

Po tym uzupełnieniu uzyskujemy prostą i w gruncie rzeczy banalną definicję populizmu. Czy tłumaczy ona jednak, dlaczego część dziennikarzy i polityków nazywa populistami nie tylko ugrupowania wyraźnie prawicowe, lecz także wyraźnie lewicowe? Tak, ale pod warunkiem, że przyjmiemy określony punkt widzenia. Pytanie o sensowność rzucania na prawo i lewo zarzutami o populizm jest więc tak naprawdę pytaniem o sensowność tego punktu widzenia. Jak go nazwać? Jedni wolą określać go mianem liberalizmu (zazwyczaj jego zwolennicy), inni – neoliberalizmu (przeciwnicy). Mniejsza o etykiety. Niezależnie od nazwy faktem pozostaje, że dominuje on w polityce od kilkadziesiąt lat, co najmniej od epoki Margaret Thatcher i Ronalda Reagana, a w Polsce od przełomu roku 1989. I nie chodzi tylko o zestaw rozwiązań ekonomicznych (niskie podatki, zmniejszanie środków na pomoc socjalną, deregulacja gospodarki, uelastycznienie rynku pracy), ale także o powiązanie ich z podstawowymi wartościami politycznymi naszych czasów, takimi jak np. budowanie trwałych, pokojowych relacji między poszczególnymi krajami.

Po upadku ZSSR (neo)liberałowie uwierzyli, że historia dobiegła końca i jedynym racjonalnym rozwiązaniem większości problemów trapiących ludzkość jest wolnorynkowy fundamentalizm. Takie podejście dotknęło także Polski. Kto nie sądził, że powszechna prywatyzacja, rządy kapitału i otwieranie rynków są jedyną słuszną drogą, był etykietowany

jako bez mała wariat. Pisali o tym między innymi David Ost w „Kłęsce solidarności” oraz Elizabeth Dunn w „Prywatyzując Polskę”. Ten pierwszy zauważa na przykład, że w pewnym momencie lat 90. okazało się, iż sami robotnicy nie mają już języka, w jakim mogliby wyartykułować swoje problemy tak, by ich usłyszano. Dunn i Ost podkreślają, że zmian, jakie zachodziły w Polsce po roku 1989 (a na świecie jeszcze wcześniej), nie można sprowadzić tylko do ekonomii. Istotną rolę w całym tym procesie odgrywał także język. Ludzie pokrzywdzeni przez transformację, ludzie, których los z wielu względów uległ pogorszeniu, nie posiadali słów, za pomocą których mogliby wyrazić niezadowolenie. Narzucony słownik świetnie nadawał się do wychwalania wolnorynkowych reform – słabo do opisywania krzywd obywateli i obywaterek zostających z tyłu. Trudno było im winić neoliberalizm, ponieważ mało kto w ogóle znał ten termin. Nie bardzo można było też narzekać na sam kapitalizm, bo ten został skojarzony z wolnością, nowoczesnością i uniezależnieniem się od Rosji, czyli wszystkim tym, co piękne i wspaniałe. Taka sytuacja sprawiła, że ludzie szukali innych wytłumaczeń swoich niepowodzeń. Część zaczęła oskarżać rządzących o korupcję, nawet gdy nie było ku temu dostatecznych dowodów. Niektórzy dawali się uwieść narracji nacjonalistycznej. Nie dlatego, że byli ze swojej istoty nacjonalistami, lecz dlatego, że nikt nie proponował alternatywnego języka, w którym mogliby wyrazić własny – odmienny od dominującego – punkt widzenia. Tylko garstka osób mówiła o systemowych niesprawiedliwościach i podawała w wątpliwość wybraną przez Polskę wersję kapitalizmu, bardziej anglosaską niż skandynawską.

(Neo)liberałowie jednak mieli na to wszystko jasną odpowiedź. Nasi przeciwnicy to populiści, czyli – mówiąc bez ogródek – szaleńcy, którzy nie wiedzą, że świat działa tak, a nie inaczej i że nie ma innej drogi. Każdy, kto nie opowiadał się za wolnorynkowym fundamentalizmem, czyli nie przemawiał w interesie tych, którym się powodziło, mógł zostać naznaczony w ten sposób. Taką postawę prezentowały właściwie wszystkie

główne partie, w tym te mieniące się lewicowymi, jak SLD. Mogły one toczyć mordercze spory na wiele różnych tematów, zazwyczaj dotyczących przeszłości i osobistych niesnasek, ale w tej jednej sprawie były zgodne. Dzisiaj, wbrew pozorom, niewiele się zmieniło. Mniej więcej rok temu setki tysięcy ludzi w całej Europie protestowały przeciwko międzynarodowym umowom handlowym CETA i TTIP. Obawiano się, że dają one jeszcze większą władzę korporacjom, przyczyniając się do dalszej utraty wpływu zwykłych obywateli na decyzje polityczne. Obawy wspierali czołowi współcześni ekonomiści, tacy jak Joseph Stiglitz i Ha Joon-Chang. Większość politycznego establishmentu nie widziała jednak żadnego problemu. Dariusz Rosati, europoseł PO, w wywiadzie dla „Gazety Wyborczej” dziwował się, jak ktoś w ogóle może protestować przeciwko tak wspaniałej umowie jak CETA. Koalicję przeciwników podpisania umowy nazwał „populistami”, którzy „nie szanują faktów”.

Jeśli zrozumiemy tę (neo)liberalną perspektywę, łatwo pojmemy, dlaczego populistami mogą być nazywane tak skrajnie różne siły polityczne, jak nacjonalistyczny Front Narodowy i lewicowe Podemos albo, by sięgnąć po polski przykład, PiS i Razem. Z punktu widzenia (neo)liberała populistą jest każdy, kto występuje przeciw politycznemu konsensusowi opierającemu się na wolnorynkowym fundamentalizmie. Ten konsensus jest opakowany w piękne idee: otwartość, wolność czy budowanie zjednoczonej Europy. Wszystko to jednak – zdaniem (neo)liberałów takich jak Rosati – musi być wsparte na wolnym rynku, którego zasady dyktują międzynarodowe korporacje. Osoba, która podważa kapitalizm – albo nawet tylko kapitalizm w jego obecnym kształcie – jawi się jako równie niebezpieczna, co otwarty ksenofob. Podemos, Razem, Le Pen, Syriza, PiS, Kukiz, Trump – co za różnica? Cała ta wizja polityczna jest przenoszona z miejsca na miejsca dzięki jednemu małemu słowu: „populizm”. Słowu, które zrównuje walkę z nierównościami społecznymi z pogardą dla ludzi innych narodowości i wyznań. Słowu, które nie rozróżnia między walką o prawa kobiet a

próbami ich ograniczania. Słowu, które stoi na straży (neo)liberalnego porządku świata.

Czy słuszną jest (neo)liberalna wiara, że wartości takie jak zjednoczona Europa są koniecznie powiązane z fundamentalizmem wolnorynkowym? W tę bajkę można było wierzyć jeszcze na początku lat 90., ale nie w 2017 roku. Nie po kryzysie finansowym, nie po Brexicie, nie po zalewie publikacji na temat rosnących nierówności społecznych w krajach zachodnich. Marzenie o końcu historii okazało się mrzonką. Choć (neo)liberałowie długo nie chcieli przyjąć tego do wiadomości. Dlatego takim szokiem był dla nich ciąg zwycięstw radykalnej prawicy. Duda? Śmiechu warte, na pewno nie wygra z Komorowskim. Brexit? Bez obaw, niemożliwe. Trump? Nie ma szans z Clinton. Pięknym symbolem tej (neo)liberalnej naiwności stał się Tomasz Lis, który zawczasu obwieścił zwycięstwo Komorowskiego nad Dudą jako rzecz niepowątpiewalną, przewidywał, że 54-55% Brytyjczyków opowie się za pozostaniem w Unii Europejskiej, a także wieszczył 310 głosów elektorских dla Clinton (ostatecznie zdobyła o wiele mniej: 227)

I oto jesteśmy w świecie, w którym to, co wydawało się stałe i pewne, rozplynęło się w powietrzu. Jaka jest odpowiedź (neo)liberałów? W Polsce wyglądała ona mniej więcej tak: „Populiści przejmują władzę, wszystkie ręce na pokład, Kijowski naszą ostatnią nadzieją!”. Oto cała diagnoza i recepta ludzi niepotrafiących zrozumieć, jakim cudem w świecie, w którym miało nie być żadnej alternatywy, mogły pojawić się tak mroczne siły jak Trump czy PiS. Połączenie hysterii, szukania rozwiązań na ślepo i upartego trwania przy starym punkcie widzenia. Jedno z największych nieszczęść politycznych naszych czasów to właśnie to, że najsilniejszą (bo mającą największy dostęp do pieniędzy i mediów) alternatywą dla prawicy są wciąż (neo)liberałowie wierzący, że rozwiązaniem jest powrót do tego, co było. Andrew Pickering, brytyjski filozof, opisuje w jednym ze swoich tekstów zmagania amerykańskich władz z rzeką Missisipi. Mimo wielu prób

utrzymania jej w zaprojektowanych granicach, rzeka wciąż się buntuje i przełamuje kolejne bariery. Pickering określa działania Amerykanów jako beznadziejną i w gruncie rzeczy śmieszną próbę zatrzymania czasu, jako próbę unieruchomienia Missisipi, „zamrożenia” jej w jednym punkcie. Podobnie wyglądają działania (neo)liberałów. Choć historia wciąż wylewa się w różnych miejscach (w USA, Wielkiej Brytanii, Polsce), przełamując bariery starego porządku politycznego, ci wciąż roją sobie, że można ją zatrzymać.

Konsekwencje mogą być fatalne. Nawet jeśli (neo)liberałowie wygrają kilka potyczek z nacjonalistami, jak w Holandii, to nie będą w stanie przywrócić dawnego porządku. Zbyt wiele uległo już zmianie i ze zbyt wieloma problemami się zmagamy: od globalnego ocieplenia, przez kryzys migracyjny, po kłopoty Unii Europejskiej. Zresztą holenderska wygrana zostało osiągnięta za cenę ustępstw na rzecz prawicowej niechęci do imigrantów. (Neo)liberałowie nie mają już ani siły, ani pomysłu na walkę z prawicowym radykalizmem, może poza postawą typu „przejmijmy część tego radykalizmu”, bo do czego innego sprowadzał się na przykład ogłoszony swego czasu przez Grzegorza Schetynę „koniec z lewicowymi eksperymentami”? Jednocześnie utrudniają powstanie lewicowej alternatywy poprzez etykietowanie każdego sprzeciwu wobec dotychczasowej polityki jako „populizmu” – niezależnie od tego, czy sprzeciw ten przybiera formę prawicową, czy lewicową. To słowo niczego nie tłumaczy i w niczym nie pomaga. Jest wyrazem bezsilności, złości oraz intelektualnej i politycznej kapitulacji wobec tego, co dzieje się na świecie.

Jeśli (neo)liberałowie naprawdę obawiają się rozpadu Europy, zaniku współpracy międzynarodowej, odrodzenia nacjonalizmów, to muszą w końcu nauczyć się patrzeć na świat z nowej perspektywy. Takiej, w której Trump i Podemos, PiS i Razem, prawica i lewica, ksenofobia i otwartość na świat, homofobia i walka o prawa mniejszości, kampanie finansowane przez miliarderów i oddolne ruchy, ustępstwa na rzecz wielkich

korporacji i walka o polityczne wpływy dla zwykłych obywateli – są dwiema zupełnie odmiennymi odpowiedziami na to, jak mają wyglądać nasze społeczeństwa, a nie przejawem tego samego zagrożenia. Innymi słowy, jeśli (neo)liberałowie na serio chcą walczyć z nacjonalizmem i ksenofobią, powinni zacząć od pożegnania się ze słowem „populizm”. Słowem należącym do starego świata, którego nie da się już przywrócić.

Autorstwo: dr Tomasz Markiewka

Źródło: NowyObywatel.pl